

„Muszą więc być analizowani”. Imperium Teorii i wyzwanie humanistyki transkulturowej

Punktem wyjścia do wydanego w 2005 roku tomu zbiorowego *Theory's Empire. An Anthology of Dissent* była konstatacja, że teoria (literatury) stała się Teorią, rodzajem uogólnionej „praktyki” dominującej w pejzażu epoki¹, a więc tym samym także rodzajem ukrytej hegemonii, zdolnej do wypierania wszystkiego, co nie jest z nią tożsame lub przynajmniej kompatybilne. Teoria (pisana wielką literą) nie dopuszcza wielości teorii pisanych małą, co poniekąd zaskakuje w czasach cechujących się skonstatowanym przez Lyotarda już w *Kondycji ponowoczesnej* „zmierzchem wielkich narracji”²; być może Teoria stała się po prostu ich zastępnikiem. To krytyczne dostrzeżenie „przemocy Teorii” czy też „gwałtu teoretycznego”, przy całej subtelności mimo wszystko nagannego, stało się punktem wyjścia do roboty rozbiórkowej, jaka w dużej mierze wypełniła ostatnią dekadę. Po diagnozie Gayatri Spivak mówiącej – w odniesieniu do komparatystyki – o śmierci dyscypliny³, a wraz z nią także o kresie literaturoznawstwa eurocentrycznego, nastąpił powrót do klasycznego pojęcia literatury światowej, czyli *Weltliteratur* Goethego (na przykład we wprowadzeniu do *What is World Literature?* Davida Damroscha⁴). Nadal istnieje jednak głęboka przepaść między zajmowaniem się literaturą światową jako przedmiotem badań a swobodnym poruszaniem się w obrębie literaturoznawstwa światowego.

Nawet jeśli początkowe lata nowego tysiąclecia wyznały pewną cezurę, to nadal żyjemy w świecie podzielonym na „centra” i „peryferie”, przy czym te pierwsze produkują zrzęb refleksji teoretycznej, pozostawiając tym drugim do opracowania jedynie „malownicze studia przypadków”. Teoria pisana wielką literą jest produktem możliwym do skojarzenia z rozpoznawalnym i zlokalizowanym geograficznie centrum; nie zadowala ani nie odzwierciedla zróżnicowanych potrzeb i kierunków refleksji humanistycznej na świecie, choć jest oferowana światu do bardziej lub mniej masowej konsumpcji.

Hegemonia symbolicznego centrum przejawia się także w daleko posuniętym monopolu na wyznaczanie akademickich standardów o rzekomo uniwersalnej ważności. Ruch kwestionowania tego monopolu, choć zarysowuje się coraz wyraźniej, jawi się wciąż jeszcze jako pozbawiony mocy, raczej spływając do wielkiego dorzecza istniejącego Imperium Teorii, niż budując działy wód i tworząc radykalne zerwania. Tymczasem istnienie

¹ *Theory's Empire. An Anthology of Dissent*, D. Patai, W. H. Corral (ed.), New York 2005, s. 1.

² Zob. F. Lyotard, *Kondycja ponowoczesna. Raport o stanie wiedzy*, tłum. M. Kowalska i J. Migasiński, Warszawa 1997.

³ Zob. G. Spivak, *Death of a Discipline*, New York 2003.

⁴ Zob. D. Damrosch, *What Is World Literature?*, Princeton – Oxford 2003.

centrum wyznaczającego rzekomo uniwersalne standardy teoretyczne może przekładać się na subtelne rodzaje wykluczenia. Warto tu przytoczyć pewną analogię. Epoka studiów postkolonialnych wyniosła literaturę wielu części świata do zachodnich salonów. Jednak nie cała literatura nie-zachodniego świata może cieszyć się tymi samymi przywilejami. Nie-zachodni pisarz może liczyć na dobre przyjęcie, jeśli podporządkuje się całej serii norm, takich jak choćby pochodzące z Europy reguły gatunkowe; uciekając się do pewnego uproszczenia, można by rzec, że kartą wstępu do globalnego obiegu literatury jest pisanie powieści. Jeszcze większe obostrzenia dotyczą wszakże literaturoznawcy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wszelkie próby tworzenia lokalnych paradygmatów krytycznych przekształcają się w swoiste dziwactwa, często szukające podpory i legitymizującego uzasadnienia w systemach ideologicznych czy religijnych⁵.

Mimo postkolonialnych przewartościowań okazuje się więc, że powszechne współtworzenie literaturoznawstwa światowego wciąż jest w ogromnej mierze fikcją. Pozostaje ono w rzeczywistości wytworem dość ograniczonej części Zachodu, mieszczącej się niemal w całości w północnoatlantyckiej orbicie. I tak jest z całą humanistyką. Nawet myśl francuska w ogromnej mierze dociera do odbiorców w wersji przefiltrowanej przez język angielski i przez amerykańską świadomość krytyczną. W symptomatyczny sposób ten stan rzeczy został odzwierciedlony już w samym tytule tomu *French Theory w Polsce*, opracowanego przez Ewę Domańską i Mirosława Lobę, gdzie studiowanym zjawiskiem miał być, jak określają to sami redaktorzy, „przeszczep francuskiej filozofii Jacques’a Derridy, Gilles’a Deleuze’a, myśli Michela Foucaulta, psychoanalizy Jacques’a Lacana i teorii Julii Kristewej do amerykańskich kampusów”⁶. A więc nie rzecz sama w sobie, lecz jej anglojęzyczna translacja.

Niekwestionowany prymat języka angielskiego ustanawia subtelny formę przemocy, różniącą się od dominacji symbolicznej typu kolonialnego tym, że z pozoru jest to przemoc „bez sprawy”, rozproszona, wpisana w rzekomą etykę podwójnie ślepego systemu recenzenckiego, przykładającego abstrakcyjny standard do tekstów wyrostych z wielkiego zróżnicowania historycznych i kulturowych okoliczności. „Podwójnie ślepy” system już w samych założeniach zaciera kulturową tożsamość zarówno autora, jak i jego recenzenta, żądając od wszystkich wpisania się w dyskurs o domniemanej powszechności i przyjmując zgodność z Teorią za uniwersalne kryterium.

Można byłoby wręcz twierdzić, że aktualny stan praktyk akademickich w humanistyce (paradoksalnie?) pozostaje w tyle za samym stanem refleksji humanistycznej. Uprzywilejowanie tekstów powielających hegemoniczne punkty widzenia przyczynia się do powstania mechanizmów stagnacji i sprawia, że dyskursy już dawno zdemontowane nadal są w obiegu. Przykładem może być fortuna akademickiego orientalizmu, choćby w tradycji Bernarda Lewisa, który kilkadziesiąt lat po wydaniu przełomowej i skądinąd niezwykle wpływowej książki Saida jawi się nadal jako wszędobylski i obficie kwitnący. Co więcej,

⁵ Dobrym przykładem mogą tu być choćby arabskie próby w zakresie tworzenia teorii literaturoznawczej, fragmenty przedstawione w kilku miejscach książki M. Dziekana, *Złote stolice Arabów. Szkice o współczesnej myśli arabskiej*, Warszawa 2011.

⁶ *French Theory w Polsce*, pod red. E. Domańskiej i M. Loby, Poznań 2010, s. 7.

można by rzec, że orientalizm się rozrasta, jako że pojawia się swoista wariacja wokół Marksowskiego tematu: „Nie potrafią się sami reprezentować; muszą więc być reprezentowani”, jaki stał się punktem wyjścia i mottem książki Saïda⁷. Brzmi ona: „Nie potrafią się sami analizować; muszą więc być analizowani” – w domyśle zgodnie z jedynym dostępnym paradygmatem, jakiego dostarcza zachodniocentryczna Teoria.

Można byłoby mniemać, że te wszystkie kłopoty spotykają „innych”, lecz nie nas. W rzeczywistości jednak konsekwencje globalnych procesów nie omijają nikogo. Warto zauważyć, że również humanistyka polska mieści się w strefie cienia rzucanego przez Imperium Teorii. Tym bardziej, że problem został u nas postawiony w sposób bardzo niefortunny, bo w powiązaniu z krytyką bieżących poczynań administratorów nauki. Dlatego też pojawił się nie w kontekście *stricte* akademickim, lecz na łamach prasy, między innymi za sprawą Andrzeja Walickiego i jego artykułu *Reforma nauki w Polsce, czyli nieświęty sojusz biurokracji z rynkiem*. Wśród wielu poruszonych kwestii pojawia się tam ustęp dotyczący wejścia polskich badaczy, w szczególności humanistów, do międzynarodowej debaty, utożsamionej tu, raz jeszcze w symptomatyczny sposób, z wpływowym czasopiśmiennictwem amerykańskim. Obszerny cytat będzie tu niezwykle użyteczny. Walicki tłumaczy, że:

„»renomowane pisma naukowe« w USA (w zakresie humanistyki) bardzo odbiegają od wobrażeń o nich naszych reformatorów nauki. Mają one, co nie powinno dziwić, własne, bardzo określone priorytety dotyczące zarówno tematyki publikowanych prac, jak i poglądów ich autorów; ponadto mają do dyspozycji nadmiar materiałów, a więc muszą rezygnować z publikacji dobrych skądinąd artykułów lub oferować bardzo długie terminy druku. »Obiektywizm« w kwalifikowaniu tekstów do publikacji polega z reguły na anonimowości procesu recenzyjnego (tzw. *peer review*, »oceny przez równych«: anonimowi recenzenci oceniają ukrywającego swą tożsamość autora). Procedura ta ułatwia jednak eliminowanie autorów zagranicznych, piszących o sprawach mało ciekawych dla amerykańskiego środowiska naukowego i reprezentujących zwykle poglądy uważane przez recenzentów za przestarzałe lub niepoprawne politycznie. Innymi słowy, warunki konkurencji nie są równe, przejście przez gęste sito selekcji redakcyjnej wymaga nie tylko znakomitego opanowania języka, ale też dużej wiedzy o amerykańskim rynku naukowym i zdolności przystosowawczych. Trudno zaprzeczyć, że nierówność ta jest ceną demokracji – pisma naukowe mają przecież prawo do własnego profilu i własnej polityki redakcyjnej, choćby nawet nie sprzyjało to publikowaniu prac autorów zagranicznych. Ale dlatego między innymi wiara w to, że pisma te gotowe są szeroko otworzyć swe łamy dla spragnionych międzynarodowego prestiżu autorów polskich, jest nieprawdopodobną wprost naiwnością”⁸.

Zasygnalizowane przez Walickiego zjawisko należałoby postawić w kontekście szerszym, wychodząc poza małostkowość debat wokół układania rankingów czy przyznawania punktów i wynikających z nich apanaży. Należy raczej spojrzeć na te uwagi z perspektywy globalnej, w której przypadek polskich badaczy jawi się tylko jako epifenomen i zastanowić się nad obosiecznością narzędzia, jakim jest język angielski jako instrument

⁷ Zob. E. Saïd, *Orientalizm*, tłum. W. Kalinowski, Warszawa, 1991, s. 21.

⁸ A. Walicki, *Reforma nauki w Polsce, czyli nieświęty sojusz biurokracji z rynkiem*, „Gazeta Wyborcza”, 1.06.2013.

globalnej refleksji. Ustanowienie powszechnej zrozumiałości ma swoją cenę, nie tylko w postaci groźby zaprzepaszczenia bogactwa kryjącego się w wielości językowych obrazów świata wytworzonych w długim trwaniu ludzkości, ale także w postaci pogłębiającej się marginalizacji tych, którzy nie są w stanie przemówić w sposób zrozumiały, czyli po angielsku. W *Representations of the Intellectual* Edward Said zadał pytanie o źródła mocy intelektualisty pozwalającej mu realizować etyczną misję polegającą na reprezentowaniu zaniedbanych punktów widzenia i wprowadzaniu skazanych na przemilczenie spraw do większościowej debaty. Owe źródła sytuował właśnie w języku, a ściślej, w językowej, dyskursywnej i retorycznej biegłości. Tym, co nadaje moc intelektualistom, jest więc mistrzowskie panowanie nad językiem („mastery of language”)⁹. Nietrudno też dostrzec odwrotność tej zależności, a mianowicie bezsilność tych, którym nie udaje się nad językiem zapanować ani osiągnąć mistrzostwa w operowaniu dominującym dyskursem.

Wyłania się tu obraz świata sprawiedliwości pozornej. Z jednej strony, ta językowa i dyskursywna biegłość wydaje się oddana do dyspozycji komukolwiek, kto tylko gotów będzie włożyć odpowiedni wysiłek w jej zdobycie. Tym bardziej teraz, kiedy dzięki Internetowi i zaistniałym w nim nowym formułom obiegu wiedzy wszystko wydaje się jakże hojnie oddane do darmowego i globalnego użytku. Na dodatek *upload* jawi się jako równie łatwy jak *download*. Nic jednak bardziej mylnego. Humanistyka w formule *open access* nadal pozostaje uwikłana w sieci Imperium Teorii, gdzie darmowe i powszechne konsumowanie nie jest równoznaczne z możliwością aktywnego udziału w kształtowaniu nowych treści, mających trafiać do globalnego obiegu. Światowa humanistyka nadal nie jest na tyle pluralistyczna, by można było mówić o jej transkulturowym wymiarze. Co więcej, o ile transkulturową humanistykę należałoby wyobrażać sobie jako zjawisko sieciowe, o tyle trzeba uwzględnić wadliwą naturę medium, jaka leży na przeszkodzie jej funkcjonowaniu. Internet, jak wiadomo od dawna, działa według „zasady św. Mateusza” („a tym, którym dano, będzie przydane”) generującej w sposób lawinowy przepaści „impaktu”. Działanie tej zasady sprawia, że poza sferą dominującego języka proporcjonalne powiązanie jakości z „impaktem” jest właściwie wykluczone. Automatyzm działania Internetu, który łączy nas w pierwszej kolejności z tym, co najczęściej odwiedzane, sprzyja nawarstwianiu się „niezasłużonej korzyści” przypadającej w udziale tekstom w globalnym języku, kosztem tekstów w językach lokalnych. Wznosi piramidy nierówności, zamiast je niwelować.

Wracamy więc w tym momencie do wyjściowej aporii, jaką jest „nieuchronność” języka angielskiego, który staje się zarazem „więzieniem myśli”, ograniczając plastyczność refleksji tych wszystkich, którzy nie zrośli się z tym narzędziem. Nasze kłopoty z angielszczyzną nie są w gruncie rzeczy ani niczym nowym, ani niczym specyficznie „tutejszym”, lecz dalszym ciągiem odwiecznych zmagania człowieka zmuszonego do przemówienia w języku nieswoim, narzuconym przez okoliczności. Być może uświadomienie sobie

⁹ Zob. E. Said, *Representations of the Intellectual, The 1993 Rooth Lectures*, London, 1994, s. 20.

powszechności tego losu stanie się źródłem pocieszenia. To jest nie tylko dramat młodocianego bohatera *Szyfowych prac*, który nie mógł się wystawić po rosyjsku, lecz także tureckiego poety ze *Śniegu Pamuka*, który nie potrafił pisać w Niemczech, czy Drissa Chraïbiego we Francji, przy czym ten ostatni, jak się zdaje, poradził sobie z sytuacją najsprytniej. Zapytany w *Paris Club*, ówczesnym programie telewizyjnym o kulturze, czy jego myślenie po arabsku i pisanie po francusku nie tworzy pewnego rodzaju dychotomii, a tym samym przydybany na całkowitej nieznanomości słowa „dychotomia”, wyznał najsoczystszą francuszczyzną imigranta świeżej daty, iż myśli wprawdzie po arabsku, ale udało mu się skombinować starą maszynę, które pisze po francusku całkiem sama¹⁰.

W ostatecznym rozrachunku dochodzę jednak do wniosku, że zestawianie tego problemu ze wszelkimi post-kolonialnymi i post-zależnymi zaszłościami w gruncie rzeczy zaciemnia istotę sprawy. Uświatowiona angielszczyzna nie jest jeszcze jednym językiem narzuconym, ale raczej przestrzenią do zawłaszczenia i zdobycia, co właściwie odwraca – jeśli upieramy się przy myśleniu w tych kategoriach – wszelkie relacje typu kolonialnego. Tym razem chodzi o wyjście ku innemu i zagnieżdżenie się po drugiej stronie, znalezienie dla siebie miejsca na zewnątrz. Dlatego też kwestią zasługującą na rozważenie, i to w zakresie znacznie przekraczającym ramy tego artykułu, jest proces zawłaszczenia i przebudowy języka, dokonywanej przez jego nowych panów/mistrzów („masters”). I tym razem zjawisko nie wydaje się w istocie niczym nowym ani niebywałym, lecz stanowi raczej zmodyfikowaną kontynuację ustanowionej już tradycji. Istotny precedens tworzą tu poprzednie zawłaszczenia, choćby takie jak to, którego dokonał Irlandczyk Joyce w *Ulissesie* i *Finnegans Wake*. Ustanowienie humanistyki transkulturowej postępującej się angielszczyzną jako głównym narzędziem refleksji musi oznaczać głęboką transformację języka, jego przekształcenie i rozbudowę, być może dopuszczenie proliferacji idiolektów, przesunięcie granic językowej i dyskursywnej normy. Angielszczyzna musi w jeszcze większym niż dotychczas stopniu wejść w dynamikę synergii z wielością lokalnych języków i tradycji dyskursywnych.

Nowi teoretycy i myśliciele muszą nie tylko zdobyć, lecz także stworzyć swoje własne nisze w obrębie języka angielskiego. W tym kontekście raz jeszcze rysuje się „nieprawdopodobna wprost naiwność” (podejmuję wyrażenie Walickiego) pewnych działań zaplanowanych przez administratorów nauki. Powzięto na przykład myśl, by zmagania z globalnym językiem radykalnie uprościć, przyznając granty na przełożenie gotowych numerów istniejących czasopism polskich na angielski. Tymczasem problem „u-miejszczenia” („*placedness*”¹¹) polskiej myśli humanistycznej oczywiście sięga znacznie głębiej w strukturę tekstu, niż mogą to zauważyć urzędnicy. Tekst wrasta w taki czy inny kontekst tysiącem niewidzialnych nici, przemilczanych założeń, niuansów użytych pojęć. Prosta procedura translacyjna może dać w rezultacie tekst wyrażony wprawdzie w języku toczącej się debaty, ale pozostający poza tą debatą w takim samym stopniu jak poprzednio.

¹⁰ D. Chraïbi, *Le Monde à côté*, Paris 2001, s. 42–43.

¹¹ Moja gra z językiem angielskim jest celowa i idzie na przekór sprytniej metodzie Chraïbiego. Usiłuję wdrożyć się do myślenia po angielsku i pisać tak, jakby mój tekst był już teraz wynikiem synergii globalnych i lokalnych języków, punktem przecinania się płaszczyzn. Jest to jednocześnie ironiczna samoobrona i eksperyment.

Często, co jest sprawą drażliwą, właśnie w tej nowej językowej szacie może ukazać w całej pełni swoją dziwaczność i nieadekwatność, czyli innymi słowy, odmienność i niewspółmierność. Nie twierdzą, że taki eksperyment nie może stać się istotnym krokiem naprzód, wręcz przeciwnie. Niewykluczone, że właśnie obnażenie rozlicznych naiwności i zgrzytów, które w przekładzie staną się łatwiej dostrzegalne, okaże się najistotniejszą korzyścią z zaplanowanego przez urzędników przedsięwzięcia. Myślę jednak, że tylko w tej mierze może ono zbliżyć naukę polską do lepszego wpisania się w światową debatę. To, co nie zostało napisane po angielsku, nie jest czytane, ale też nie wszystko, co jest wydane po angielsku, staje się przedmiotem lektury...

W ostatecznym rozrachunku translacja jest więc zapewne tylko rozwiązaniem tymczasowym, próbą przemylenia czegoś do Imperium przez nieszczelną granicę. Prawdziwe zaistnienie wymaga podjęcia zmagania i gry o znacznie wyższe stawki. Rozplenienie angielszczyzny i funkcjonujących w niej dyskursów jest dalekosiężnym i długotrwałym procesem, którego ostateczne konsekwencje trudno sobie już dziś wyobrazić. Myślę jednak, że warto przygotować się choćby na nadejście tekstu literaturoznawczego, który będzie się miał tak do aktualnie obowiązujących modeli pisania artykułów naukowych, jak *Finnegans Wake* ma się do wzorców powieści realistycznej. Trudno byłoby twierdzić, że w humanistyce ostatnich dziesięcioleci nie było niczego, co by nas przygotowało na taką rewolucję. Teksty założycielskie w rodzaju *Tympanum z Marginesów filozofii Derridy*¹² mogły przygotować na wiele; jednakże ich potencjał został raczej stępiony i unieszkodliwiony przez codzienną praktykę akademicką, niż twórczo rozwinięty. Sądzą jednak, że konieczność renegocjacyjnej operacji na języku i dyskursie, jaka jest warunkiem zdobycia własnego miejsca w humanistyce transkulturowej, wymusi twórcze powroty do tych i tym podobnych tradycji. Tak czy inaczej, trzeba będzie znaleźć drogę do własnej, idiolektalnej angielszczyzny, a zarazem idiolektalnego dyskursu teoretycznego, co rysuje się jako warunek wyjścia ze strefy neutralności, nieokreśloności i cienia w globalnym kontekście.

W bieżącym literaturoznawstwie polskim wziętym jako „praktyka normalna”, a więc z pominięciem kilku wyróżniających się, wyraźnie zindywidualizowanych sylwetek, trudno byłoby, jak mi się zdaje, wskazać jakiegokolwiek żywotne konsekwencje tych antecedensów. Aktualna humanistyka polska jest rozpięta między chłonnością na nowinki płynące wciąż jeszcze z przygasających metropolii Imperium Teorii a niegotowością do podjęcia ryzyka eksperymentowania na własną rękę. Na pierwszy plan wysuwają się postaci wcielające się na stałe w rolę „importerów idei”, oferujących coraz to nowsze inspiracje, co zilustrować mogłaby postać Ewy Domańskiej i fenomen jej ogromnej popularności w polskim środowisku humanistycznym. Stojący na drugim biegunie „autonomiczni eksperymentatorzy” stanowią o wiele mniej liczną grupę. Wydaje się jednak oczywiste, że osiągnięcie wyrazistości w ponadlokalnym kontekście wymagać będzie podejmowania wysiłku i ryzyka coraz dalej idącej innowacji, a nie coraz szybszej asymilacji zmieniających się kalejdoskopowo trendów.

¹² J. Derrida, *Tympanum* [w:] *Marginesy filozofii*, tłum. J. Margański, Warszawa, s. 5–27.

Twierdzą więc, że tylko zwiększenie śmiałości poszukiwań może pozwolić na znalezienie miejsca w pejzażu aktualnych przemian. Ostatnia dekada przyniosła ogromny awans niektórych, dotychczas peryferyjnych ośrodków, urastających do rangi nowych przestrzeni teoriiwórczych. Szczególnie rzuca się w oczy na przykład awans Włoch, w ostatnich latach wychodzących z cienia Francji, czy rozwój słoweńskiej szkoły późnej psychoanalizy, reprezentowanej już nie tylko przez Slavoję Žižka, lecz także przez pokrewne postaci, takie jak Alenka Zupančič i inni. Wyłania się więc o wiele bardziej zróżnicowana geografia przestrzeni refleksji, rozwijająca się daleko na południe i na wschód od dotychczasowych centrów.

Tymczasem wypada wrócić raz jeszcze do przytoczonego rozumowania Andrzeja Walickiego, dowodzącego, że nadzieja na to, iż polscy naukowcy zaczną publikować w międzynarodowych czasopismach, jest „nieprawdopodobną wprost naiwnością”. Jest to stwierdzenie, które trudno przyjąć, choć też nie sposób odmówić racji sceptycyzmowi starego badacza, za którym niewątpliwie stoi życiowe doświadczenie. Sprawę trzeba przede wszystkim przenieść na zupełnie inny poziom, być może zadając „Blumenbergowskie” pytanie: „czym jest świat?”. Diagnoza Walickiego odnosi się bezpośrednio do amerykańskiego kontekstu i można byłoby uznać ją za zasadną, gdyby miało chodzić nadal o rozważenie relacji z metropolią Imperium Teorii. Walicki, uzasadniając swój głos własnym doświadczeniem, jakie zdobywał w dużej części właśnie w angloamerykańskiej orbicie, opiera się milcząco na założeniu, że świat jest Stanami Zjednoczonymi, a Stany Zjednoczone są światem. Jeśli jednak zgodnie z tym, co sugeruje Walicki, naszym losem w tak pojętej humanistyce światowej jest wykluczenie, to warto ujrzeć tę sytuację w szerszym kontekście, uwzględniając istnienie „innego świata” – rozległej domeny wykluczonych, wśród których się znajdujemy. Tym bardziej, że to właśnie ten świat dochodzi aktualnie do głosu. Warto więc choćby z tego powodu rozważyć, co może wiązać się z wyłonieniem się nowej przestrzeni debaty. Widzę tu ogromną szansę, a także poważne zagrożenia i deficyty polskiej humanistyki. Obawiam się, że jest ona zbyt zapatrzona w zmierzchające metropolie, by z należytą uwagą śledzić zmieniającą się geografii peryferii.

Powyższe uwagi są skromnym przyczynkiem do toczącej się debaty nad „uświatowieniem” polskiej nauki, w tym humanistyki. Warto podkreślić po raz kolejny, że jest to debata, której nie wolno sprowadzić do bieżącej krytyki reform w zakresie administrowania nauką, uznawanych za mniej lub bardziej fortunate. Chodzi tu także o dostrzeżenie, że humanistyka ma pewne powinności czy przynajmniej możliwą rolę do wypełnienia. Jej miejsce, między innymi w perspektywie wspomnianych reform administrowania nauką, wyznacza się zwykle w kontekście ściśle powiązanim z pojęciem dziedzictwa narodowego i troską o jego zachowanie. Oznacza to nieuwzględnienie, a po części być może także odmowę finansowania refleksji nad zjawiskami nienarodowymi, choćby takimi jak literatura światowa. W ostatecznym rozrachunku działa to wszakże na niekorzyść kultury narodowej, ponieważ humanistyka nie spełnia swojej podstawowej funkcji „rozpoznawania świata”, udzielania odpowiedzi na owo przytoczone przeze mnie

filozoficzne pytanie: „czym jest świat?”. Nierozpoznanie jego konturów, bieżących trendów i zmieniających się proporcji potencjałów prowadzi do konsekwencji wykraczających daleko poza samą humanistykę. Mogłaby ona dokonywać rekonesansu globalnej rzeczywistości, wnosząc istotną wiedzę, przydatną w wielu rozmaitych formach ludzkiej działalności i wymiany. Efektem zaniedbania tej kwestii jest swoista ślepotą na świat, przynosząca niekorzystne skutki dla kultury narodowej pozbawionej własnego, niezpośredniczonego wglądu w globalną rzeczywistość i w konsekwencji skazanej na postrzeganie świata cudzymi oczyma, wtórność i intelektualną zależność od metropolitalnych obszarów Imperium Teorii, które leżą przecież gdzie indziej i do których, jak widzieliśmy, nasz bezpośredni wstęp jest wysoce utrudniony.

Proces proliferacji równoprawnych miejsc refleksji oraz zyskiwania przez nie ważności i widzialności zmierza w kierunku wytworzenia nowej, transkulturowej przestrzeni debaty, która może w najbliższej przyszłości zastąpić skrytykowane i zdemontowane Imperium Teorii. Można wyobrazić ją sobie jako globalną sieć o wielu węzłach, w której wszyscy powiązani są ze wszystkimi na zasadach równorzędności uprawnień. Jednak brak wykluczonych *a priori* nie oznacza braku wykluczonych *a posteriori*. Nie mam wątpliwości, że i ta sieć będzie niosła ze sobą określony potencjał przemocy symbolicznej. Biada więc temu, kto nie odnajdzie w tym kontekście własnego miejsca, nie stanie się węzłem, lecz oczkiem sieci. Być może konsekwencje marginalizacji w nowym porządku wiedzy będą jeszcze bardziej dotkliwe niż znalezienie się na peryferiach intelektualnego Imperium, jakie znaliśmy do tej pory. Dotychczasowe centrum było jasno określone, co ułatwiało śledzenie toczących się w nim wydarzeń. Procesy sieciowe, rozgrywające się wszędzie i nigdzie, wymagają o wiele większej czujności i są nieporównanie trudniejsze do ogarnięcia. Uważam, że intelektualne bytowanie w transkulturowej sieci może być niezwykle solidne i komfortowe, pod warunkiem mnogości i zasięgu powiązań; boję się jednak, że opieszałość w ich budowaniu może prowadzić do przejścia w stan swobodnego unoszenia się w próżni, z którego trudno będzie się potem wydostać.

Summary

They Must Be Analyzed.

The Theory's Empire and the Challenge of the Transcultural Humanities

Analytic practices in the humanities have been gradually transformed into a new form of symbolic oppression. Open access download and indiscriminate consumption do not automatically imply an equal active participation in the debate. Apparently, the „democratic” rules and procedures behind the production of knowledge, such as a double-blind peer-review system, are not as innocent as they seem. Andrzej Walicki has pointed out that Polish scholars may have to face continuing hindrances, which should be interpreted not only as a result of their personal insufficiency, but as an epiphenomenon of a global problem: they remain in the shadow of the Theory's Empire. The necessity of creating new networks of exchange is thus evident, and so is the task of rethinking the concept of „the world” in order to guarantee participation and visibility.